

Fetysz demokracji

Demokracja sama z siebie niczego nie gwarantuje. W imię najszczytniejszych haseł można dokonać najokropniejszych zbrodni

Wasi ludzie pióra i politycy, a także cały klan oświeconych ludzi u nas, zajmują w tych sprawach zupełnie odmienne stanowisko. Wcale nie szanują mądrości innych, lecz równoważą to całkowitym zaufaniem do mądrości własnej. Dla nich wystarczającym motywem burzenia starego porządku rzeczy jest to, że jest stary" – pisał, zwracając się do swojego francuskiego korespondenta, Edmund Burke w „Rozważaniach o rewolucji we Francji”.

14 lipca Francuzi świętowali kolejną rocznicę zburzenia Bastylii – a właściwie wielkiego mitu, jaki wokół tego dość w sumie żałosnego wydarzenia stworzyła republikańska historiografia. Kiedy nad Łukiem Triumfalnym przelatują z hukiem myśliwce Mirage, ciągnąc za sobą trójkolorowe dymy, mało kto chce pamiętać, że z Bastylii uwolniono raptem siedmiu pospolitych kryminalistów, pokonując arcygroźną załogę twierdzy, sformowaną z podstarzałych wojennych weteranów.

Republikański mit nie może nie uwzględnić rewolucyjnego terroru, ale przedstawia go raczej jako konieczne zło. Jako rodzaj wypaczenia, które trwało przecież tylko kilkadziesiąt miesięcy, za to zapoczątkowało wspaniałą republikańską tradycję.

Jest jednak element, który w republikańskim micie właściwie nigdy się

nie pomieścił, bo pozostawał z nim w dramatycznym kontraście. Ba, został świadomie skazany na niepamięć i był z niej powoli wydobywany w ciągu XIX w., a w niektórych aspektach dużo, dużo później, bo dopiero w drugiej połowie wieku XX. To los zbuntowanej w latach 1793–1794 Wandei, prowincji na zachodzie Francji, na południe od Loary.

Straszna zemsta na Wandei

Wandejscy chłopci powstali na początku 1793 r. między innymi w obronie swoich księży, zmuszanych do podpisywania lojalek wobec nowego reżimu, a także dlatego, że dotarły do nich straszliwe wieści o losie rodziny królewskiej. Jednocześnie republikańskie oddziały zaczęły brutalnie wymuszać na prowincji przestrzeganie coraz bardziej absurdalnych wymysłów Konwentu.

To chłopci zwracali się z prośbą do dobrze urodzonych, aby ich poprowadzili do walki. Sami nie mieli żadnego doświadczenia wojskowego. I poprowadzili: de Charette, Cathelineau, de la Rochejacquelein, Stofflet, de Bonchamps i inni. Gdy republika, po początkowej defensywie i sukcesach powstańców, zyskała przewagę, zemsta była straszna. Rozkazy z Paryża nie pozostawiały wątpliwości: Wanda nie tylko miała zostać pokonana. Nie chodziło jedynie o stłumienie rebelii. Chodziło o eksterminację całego regionu. Eksterminację w sensie całkiem współczesnym, taką, jakiej dokonywały najbrutalniejsze totalitarne reżimy.

Żołnierze i dowódcy spod trójkolorowej kokardy, zebrani w „piekielne kolumny” – ze złowrogim gen. Westermannem na czele – dopuścili się ludobójstwa. Ich czyny wypełniały znamiona tego terminu w jego całkiem współczesnym znaczeniu. Wandejczycy ginęli tylko za to, że byli Wandejczykami. Założenie było takie, że każdy Wandejczyk to

rojalista i wróg rewolucji. Nawet jeśli ma tylko dziesięć lat albo rok – wówczas jest wrogiem rewolucji in spe. Bez różnicy – mężczyźni, chłopcy, dziewczęta, kobiety, niemowlęta. I oczywiście księża.

Było wyrabianie butów ze skóry zabitych, palenie żywcem ludzi chroniących się w kościołach, masowe topienie na barkach, nabijanie głów czy dziecięcych trupów na piki. Było pełne wściekłości burzenie dworów „wrogów rewolucji”, ale także pacyfikacje całych wsi, palonych do fundamentów.

Wszystko to, co znamy z niemieckiego narodowego socjalizmu, komunizmu czy masakr na polskich Kresach. I wszystko to w imię „wolności, równości, braterstwa”. Znany jest list Westermanna, piszącego z satysfakcją o miażdżeniu dziecięcych główek końskimi kopytami. W sumie wojna z Wandejczykami mogła pochłonąć życie nawet ponad pół miliona ludzi. Ta liczba do dziś nie jest pewna.

Było też bezczeszczenie i burzenie kościołów, ale to w końcu nie było już wtedy nic nowego. Rewolucja w największych miastach Francji miała od początku obrazoburczy i skrajnie antyklerykalny charakter. Symbolem tego pozostanie zdziczały tłum, kierowany przez wypływające na rewolucyjnym prądzie najgorsze paryskie męty, plądrujący, profanujący i demolujący katedrę Notre Dame. To zresztą też epizod, o którym krzewiciele republikańskich mitów woleliby zapomnieć.

Trzeba wyciągnąć naukę

Po co dziś o tym pisać? Przecież nie po to, aby dzielić Francję i Francuzów – to absurd. Choć faktem jest, że oficjalnie wszystkie te wstydlive i straszliwe wydarzenia są uznawane za koszt, jaki trzeba było ponieść, a nie za oczywistą hańbę i nadużywanie haseł o władzy

ludu.

Nawet jeżeli drastyczne szczegóły wandejskich masakr i heroizm szuanów zostały w pełni naświetlone dopiero w ciągu ostatnich kilku dekad, to można założyć, że rany się zabiły. Francja pod trójkolorowym sztandarem przeszła potem przez liczne koleje losu, które ją skleły.

Inna rzecz, że Wandejczycy bez kompleksów pielęgnują swoją pamięć, urządzają plenerowe widowiska związane z powstaniem, a dla francuskich rojalistów dzieje wandejskich wojen i biały sztandar z liliami Burbonów są nadal bardzo ważne. I nikt nie twierdzi, że to działalność wywrotowa albo „dzielenie Francuzów”.

Chodzi jednak o coś całkiem innego: o naukę, którą z pamięci o tamtych wydarzeniach, ożywającej przy okazji 14 lipca, powinniśmy wyciągać i dzisiaj. Zwłaszcza gdy 14 lipca jest datą doskonale pamiętaną i świętowaną, ale już nie choćby 21 stycznia – data rozpoczęcia pacyfikacji niepokornej prowincji w 1794 r.

Idzie tu o prawdę dość prostą, ale dziś traktowaną niemal jak obrazoburstwo: demokracja sama z siebie niczego nie gwarantuje. W imię najszczytniejszych haseł można dokonać najokropniejszych zbrodni.

Owszem, brzmi to jak oczywistość w odniesieniu do reżimów totalitarnych, które posługiwały się najpiękniejszymi hasłami, realizując ludobójcze przedsięwzięcia. Tyle że tutaj mówimy o kolebce współczesnej demokracji, o zaczątku przecież nie tylko republikańskiej Francji, ale w ogóle nowoczesnego republikanizmu w stylu kontynentalnym – tego oświeconego, pielęgnującego dziś wiele zwodniczych i fałszywych mitów w rodzaju „neutralności

światopoglądowej państwa" albo opacznie rozumianej tolerancji.

Francuscy rewolucyjniści, jak słusznie zauważał Burke, walczyli z tym, co stare, tylko dlatego, że było stare. Jakobińskie pomysły na ustanowienie nowego ładu – nowe nazwy miesięcy czy zastąpienie religii kultem Najwyższej Istoty – dziś przypominają zmiany wprowadzane przez zamordystyczne azjatyckie reżimy. A przecież były jedynie konsekwencją budowania systemu w brutalnej opozycji do istniejących naturalnych mechanizmów lojalności, wierności, wiary, do naturalnego rozumienia roli władzy i państwa. Republika w wydaniu jakobinów była – jak by dziś można powiedzieć – wymysłem kawiarnianych teoretyków, którzy, jeżeli rzeczywistość nie chciała im się podporządkować, mieli dla niej tylko jedną odpowiedź: gilotynę.

Prawa „oświeconych”

Dzisiaj niektórzy starają się ostrzegać, że demokracja traktowana jako samoistna odpowiedź na wszystkie problemy staje się fetyszem. Demokracja bez wartości lub wręcz istniejąca w opozycji wobec nich to echo jakobińskiej Francji z setkami tysięcy ofiar terroru i bez prawdziwej wolności sumienia.

Porównanie może się wydawać przesadzone, ale takie jest źródło kuriozalnych przepisów i orzeczeń, krępujących wolność wyrażania własnych przekonań w sferze religii czy zakazujących tak zwanej mowy nienawiści, co w praktyce sprowadza się do nakazu akceptacji i zakazu krytykowania szczególnie agresywnych środowisk – na przykład homoseksualnych. Jest oczywiście gigantyczna różnica pomiędzy rewolucyjnym terrorem a współczesnymi wyrokami za niewłaściwe słowa, ale źródło jednego i drugiego jest podobne.

Ostatnio dostało się biskupowi kieleckiemu Kazimierzowi Ryczanowi za

homilię, którą wygłosił na Jasnej Górze podczas pielgrzymki Radia Maryja. Hierarcha podobno dokonał zamachu na demokrację, mówiąc: „Demokracja nie ma mocy ustanawiania praw moralnych sprzecznych z Dekalogiem”. W dodatku zamachnął się na specyficzną pojmowaną tolerancję, nazywając ją „bożkiem postmodernistycznego świata”.

Zanim potępi się tę i podobne opinie, może jednak warto sobie przypomnieć okres najostrzejszej fazy rewolucji, w którym skupiły się wszystkie przyszłe niebezpieczeństwa, wynikające z bałwochwalczego traktowania demokracji i uzurpowania sobie przez grupkę „oświeconych” prawa do orzekania, co jest, a co nie jest wystarczająco postępowe i demokratyczne?

Łukasz Warzecha

Tekst ukazał się w dzienniku Rzeczpospolita (20.07.2012 r.)

Foto: Damian Burzykowski ("Fakt")